

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Najpiękniejsza z kaplic północnej Europy

Na mocy starodawnego zwyczaju w czasie adwentu, codziennie przed świtaniem, śpiewa się w Polsce Msze św., zwaną roratami, od pierwszego słowa intoitu „Rorate coeli...“ Istnieją jednak kościoły, a częściej kaplice, które cieszą się przywilejem odprawiania roratów przez cały rok. Należy do nich między innymi najpiękniejsza kaplica na północ od Alp, a mianowicie kaplica Zygmunto-wska, katedry na Wawelu, zwana inaczej kaplicą Rorantystów. Z dawien dawna widok jej w zachwyty wprawiał oglądających. Ks. Wojciech Waśniowski pisze o niej w r. 1645:

Zygmunt pierwszy Król polski,
czci Bogarodzice
Stróż pilny, pod imieniem tej
Panny kaplicę
Taką w zamku królewskim w
głębsze podał lata
Ze ją załczyć możemy w sied-
miu cudów świata.

Znany miłośnik Krakowa Ambroży Grabowski, uważa kaplicę Zygmunto-wską za najwspanialszą i najkosztowniej-szą w całej Polsce, tak wspaniałą, że szczytoby się nią mogły Włochy.

Tę wspaniałą kaplicę, którą jeszcze inny autor nazywa „cudem pomysłowo-ści epoki odrodzenia“, „najpiękniejszym dziełem renesansu z tej strony Alp“ polecił wznieść około r. 1515, zaraz po śmierci swej ukochanej żony Barbary Zapolskiej, Zygmunt I. Plany wykonał mistrz z Florencji Bartłomiej Berecci, który zdomowił się zresztą w stolicy Jagiellonów. Tutaj ożenił się i zyskał tytuł Bartolomeus Italus Lapidida Reg. Maj. Archifactor Regius. Ten to wielki sądząc po wspaniałym dziele, artysta, przedstawił, znającemu się zresztą na sztuce, królowi plany kaplicy, która sta-nąć miała w południowej nawie kate-dry, na miejscu starej, gotyckiej, ufundowanej jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, pod wezwaniem Wniebowzięcia N. P. Marii.

Budowę kaplicy rozpoczęto w r. 1520. Misterna praca nad wykończeniem tego renesansowego cacka trwała lat dzie-siątk. Wprawdzie uroczystego poświęcenia jej dokonał biskup krakowski Piotr Tomicki w obecności króla i kró-lowej Bony już w r. 1530, ale jeszcze następcy Zygmunta I Zygmunt August i Anna Jagiellonka uzupełniali dzieło ojca. Oczywiście nie wszystko jest dziełem Bartolomea. W budowie i ozdobieniu pomagali mu inni mistrze włoscy.

Przejdźmy jednak do opisu wnętrza. W trzech ścianach kwadratowej kaplicy znajdują się półkoliste wnęki. W jednej z nich, a mianowicie w ścianie wschodniej, pomieszczono ołtarz z tryptykiem wykonanym wedle rysunku Jana Dürera. Przedstawia on sceny z życia Naj-świętszej Panny i Jej Syna. Tryptyk ustawiony został w r. 1538, jeszcze za życia króla. Widzimy w nim płasko-rzeźby kute ze srebra, gdzieśgdzie złożone. Zewnętrzną stronę skrzydeł

tryptyku pokrywają malowidła szkoły norymberskiej.

Wnękę południową kaplicy wypełnia tron królewski z czerwonego marmuru, z wstawionym w przedniej jego części pomnikiem Anny Jagiellonki. Dzieło to dłuta Santi Gucci, podobnie jak i znajdujący się w sąsiedniej wnęce zachodniej pomnik Zygmunta Augusta. Pomieszczona wyżej w tej samej wnęce co pomnik ostatniego Jagiellona, rzeźba Zygmunta Starego wyszła z pod dłuta Jana Marii Padovano. Oba pomniki ojca i syna wykonane zostały z czerwonego marmuru węgierskiego. Oprócz ołtarza tronu i monumentów Zygmunto-w, wewnątrz kaplicy zdobią posągi św. św. Zygmunta, Jana Chrzciciela, Piotra i Pawła, Wacława i Florjana, oraz umieszczone po-nad nimi medaljony Salomona i Dawida, a dalej św. św. Łukasza, Jana Ewange-listy, Marka i Mateusza. Posągi te i me-daljony przypisują znawcy szkole Mine-llo de Bardi z Padwy i Janowi Marii Padovano, za wyjątkiem dwóch, a to św. Wacława i św. Florjana, które są dziełem nieznanego, podrzędniejszego zresztą, artysty.

Dwa z pośród medaljonów są portre-tami współczesnych. Popiersie Salomo-na wyobraża Zygmunta Starego. Dawid zaś to znany w owych czasach poten-tat finansowy Jan Boner.

Z pięknego ołtarza, wspaniałych po-sągów i medaljonów spływa spojrzenie przybysza na ściany, na których podzi-

wiać można bogatą, a jednak subtelną ornamentykę, — dzieło jednego z naj-większych rzeźbiarzy dekoracyjnych owych czasów Jana Cini z Sieny. Kute są te ornamenty w kamieniu i tworzą plecionkę w której odbijają się wspom-nienia wypadków współczesnych, cieka-wych zresztą i ważnych. A więc obok syren i delfinów widzimy Indianina z koroną z piór na głowie jako symbol odkrycia Ameryki, przypadającego na te czasy i t. d.

I jeszcze jedno spojrzenie, tym razem w górę, ku nakrywającej kaplicę kopule, która spoczywa na ośmiokątnej podsta-wie, oddzielonej od ścian kaplicy gzym-sem. Ta ośmiokątna podstawa kopuły, poprzerywana jest okrągłymi otworami okien, przez które wsączają się do ka-plicy strugi rozproszonego światła, po-tęgując wrażenie. Wnętrze kopuły po-dzielone jest na 80 kasetonów, z których każdy ozdobiono piękną rozetą. Ile pra-cy poświęcił artysta ozdobieniu kopuły nie trudno sobie uprzytomnić, skoro każ-da rozeta różni się od swej sąsiadki, a wśród 80 nie ma dwóch identycznych. Kopuła zakończona jest latarnią.

Kaplica Zygmunto-wska oddzielona została od południowej nawy katedry piękną renesansową kratą, dziełem kra-kowianina mistrza Serwacego z r. 1527, wykonaną w brązie. Ponad wejściem do kaplicy, umieszczono pochodzące z czasów ówczesnych portrety Zygmunta

Starego, Anny Jagiellonki i królowej Bony.

I zewnętrzny wygląd kaplicy wyróż-nia ją z pośród 20 innych kaplic katedry wawelskiej. Dach pokrywający kaplicę Zygmunto-wską, imitujący łuskę rybia, wykonany z blaszek miedzianych, bo-gato złożonych, błyszczy w promieniach słońca, jak błyszcząca królewska korona fundatorów kaplicy ostatnich Jagiello-nów. Złoty dach kaplicy Zygmunto-wskiej jest fundacją Anny Jagiellonki, któ-ra poświęciła na ten cel kilka tysięcy złotych dukatów. Piękne są oprawy okien, ozdobione różycami, oraz znajdu-jący się na ścianie zewnętrznej orzeł Jagiellonów.

Ponieważ kamień piaskowy, z które-go zbudowano kaplicę i wykonano rzeź-by, uległ, zwłaszcza ze strony zewnętrznej z biegiem lat zwietrzeniu, przysta-piono z końcem ub. stulecia do jej odno-wienia, do którego przyłożył również ręki mistrz Matejko. Zwietrzałe frag-menty rzeźb zastąpiono identycznymi, wykonanymi w bardzo trwałym pia-skowcu z Szydłowca.

Dzisiaj kaplica Zygmunto-wska, zwa-na inaczej kaplicą Rorantystów, ogląda-na przez tysiączne rzesze turystów pol-skich i zagranicznych, chlubnie świadczy o dawnej kulturze podwawelskiego gro-du. Jest ona jednym z najwspanialszych dowodów przynależności Polski do la-cińskiej kultury Europy zachodniej.

ak.

Ormianie na ziemi pokuckiej w XVII i XVIII wieku

Gdziekolwiek w Polsce osiedlili się Ormianie, mieli zawsze możliwość i peł-nię swobody rozwoju. To też cały szereg gmin ormiańskich, jakie w ubie-głych wiekach istniały na ziemiach polskich, pozostawiło do dziś dnia śla-dy swej azjatyckiej kultury. Gminy Or-miańskie jakie w ub. wiekach istniały w Kamieńcu, Lwowie Zamościu, Sta-nisławowie i innych miastach Rzeczy-pospolitej, stanowiły odrębne środowis-ko, różniące się od otoczenia nie tylko innym językiem, religią i obyczajami, ale też swą wschodnią kulturą czerpi-ącą odżywcze soki z ojczyzny za po-średnictwem lewańtyńskich karawan i eczmiadzińskich pielgrzymek. Ten pietyzm i umiłowanie swych wschodnich obyczajów, sprawiały, że wszędzie tam gdzie istniała gmina ormiańska, życie kształtowało się wedle form narzuconych przez Ormian, którzy potrafili wywrzeć wpływ nie tylko na sfery mie-szczańskie, ale też i na szlacheckie.

To też do dnia dzisiejszego zacho-wały się ślady kultury ormiańskiej w różnych miastach Polski będące tema-tem badań historyków i znawców kul-tury i sztuki. Niestety, naukowych roz-

praw o Ormianach, oraz o wpływie ich kultury na kulturę polską, mamy nie-wiele. Wśród nich jednak znajduje się większa praca o Ormianach osiadłych na Pokuciu (w szczególności w Stani-sławowie), znakomitego historyka dr. Czesława Chowańca, pt. „Ormianie w Stanisławowie w XVII i XVIII wieku“. Praca ta należąca bezsprzecznie do cie-kawych i poważniejszych prac nauko-wych tego rodzaju została w ograni-czonej ilości, bo zaledwie 400 egzem-plarzach, wydana w 1928 roku, z oka-zi III. zjazdu Biblijotyków Polskich we Lwowie — i stanowi jedyną dokładną monografię o Ormianach na Pokuciu.

Opierając się na wzmiankowanej monografii, postaram się w krótkości przedstawić pewne charakterystyczne szczegóły z życia pierwszych pionie-rów kultury gospodarczej i duchowej na Pokuciu.

Ziemia pokucka, jakkolwiek leżąca na szlaku dróg handlowych łączących ujścia Dunaju ze Lwowem, przez dłu-gie lata — bo aż do połowy XVII w., była skrzętnie omijana przez karawany kupieckie, jak i osadnictwo, ponieważ była to kraina dzika, pełna bezkresnych

lasów i gór, kraina dająca schronienie bandom opryszków, oraz będąca tere-nem ciągłych wojen. Stąd też na Poku-ciu Ormianie osiedlili się najpóźniej, bo dopiero w czasie założenia twierdzy Stanisławowa w 1662 r., przez Jędrzeja Potockiego. Wprawdzie niespełna czter-dzieści lat przedtem, w małej ilości osiedlili się Ormianie w Sniatynie, ale osadnictwo ich na większą skalę, datuje się dopiero od czasów założenia Sta-nisławowa. Sprowadzenie Ormian z Mołdawii, było niewątpliwie zasługą Jędrzeja Potockiego starosty halickiego, który rozpoczął na Pokuciu prace go-spodarczo-osadnicze na wielką zakro-jone miarę. Poza to do osiedlenia się Ormian w Stanisławowie, w wielkiej mierze przyczyniły się królewskie przy-wileje, jakimi cieszyło się nowopo-wstałe miasto-twierdza; jak zwolnie-nie od podatków na 20 lat, udogodnie-nia samorządowe, handlowe itp.

Osiedlenie się Ormian w Stanisła-wowie, wprowadziło do miasta przy-kład ładu i porządku wśród mieszczan, którzy składali się z różnych narodo-wości, a ich współżycie pełne było wzajemnych antagonizmów. Pan i dzie-dzie miasta, — Jędrzej Potocki, wy-

dzielił Ormianom wschodnią część (od rynku) twierdzy, a nawet zbudował im drewniany kościółek.

W czasie tym toczyła się gorąca walka w kościele ormiańskim, podlegającym eczmiażdżyńskiemu katolikosowi o Unję z Rzymem, w której to walce Potocki stanął po stronie zwolenników Unji, i za pośrednictwem O.O. Teatynów ze Lwowa, przyjął w roku 1665 na proboszcza ormiańskiego księdza perskiego Józefa zwanego Wschodnim, również zwolennika Unji. Jednak Ormianie stanisławowscy stanęli twardo na gruncie dawnych swych zwyczajów religijnych (podobnie jak w innych miastach Polski), tak że ksiądz Józef zrażony opuścił parafię ormiańską. Dopiero w rok później, dzięki proboszczowi łacińskiemu Białaczewskiemu, udało się zjednać Ormian stanisławowskich dla Unji, tak, że przybyły pod koniec 1666 roku ks. Grzegorz Balsamowicz, proboszcz ormiański, dokonał reszty. W ten sposób został złagodzony spór jaki siłą rzeczy wynikł pomiędzy Potockim a Ormianami, przez co Potocki nie stracił kolonii ormiańskiej, która w nowopowstałym mieście dużo znaczyła — Ormianie zaś nie stracili doskonałego rynku handlowego, jakim było miasto o pełnych przywilejach i w dodatku leżące na szlaku handlowym prowadzącym z północy do Konstantynopola, z południa zaś do Lwowa i w głąb kraju.

Ten zatarg religijny wskazuje w pierwszych latach osiedlenia się Ormian w Stanisławowie, na ich istnienie na Pokuciu. Dopiero po upadku Kamieńca, w czasie wojny Polski z Portą Otomańską w latach 1672—1676, wielka ilość Ormian z tamtejszej gminy, emigruje do Stanisławowa i tu się osiedla, nadając miastu ton i wywierając przemożny wpływ na życie mieszczaństwa, oraz — co zaliczyć należy za wielką zasługę — wykupuje z rąk żydowskich nieruchomości.

Jak wielki wpływ na współczesne życie Stanisławowa wywarli Ormianie, świadczy specjalny przywilej dla nich, wydany przez Jędrzeja Potockiego w 1677 roku, a nadający Ormianom pełne prawa sądowe, handlowe itd. — jednym słowem: autonomię. Dzięki temu przywilejowi gmina ormiańska usamodzielniała się zupełnie. W tym samym roku, został przywilej ten zatwierdzony przez króla Jana III., co w znacznej mierze umocniło samodzielne istnienie Ormian, którzy też samodzielność tę zachowali aż pod koniec XVIII wieku.

O życiu i samorządzie stanisławowskich Ormian zachowały się liczne wzmianki jedynie w aktach sądowych z czasów ówczesnych. Te sterty pożółkłych kart zawierające szczegóły z życia „synów św. Grzegorza”, stanowią dziś nieoceniony materiał do badań historycznych ich samorządu itp. Z aktów tych dowiadujemy się, że imieniem Gminy Ormiańskiej, występowała wobec władz miejskich rada złożona z 40 mężów, zwanych „karsunach parami”, którzy pozbawieni łonie własnej gminy byli wykonawcami władzy finansowej. Rada Karsunachparamów, która początkowo powstała prawdopodobnie samorzutnie, z czasem uzupełniała swój skład drogą kooptacji. Poza to co roku odbywały się wybory dwóch naczelników rady, którzy wchodziłi w skład samorządu miejskiego jako delegaci finansowi tzw. „łunarzy”.

Na czele gminy stała rada złożona z 12 łajców i wójta, będącego zarazem najwyższym sędzią. Rada ta prócz władzy sędziowskiej była najwyższą wła-

dzą administracyjną gminy. Wójta wybierano corocznie, przyczem zdarzało się, że ten sam człowiek — cieszący się poważaniem gminy — wybierany był na wójta kilkakrotnie. Sam wybór odbywał się nadzwyczaj uroczystie. Po nabożeństwie dokonywano głosowania w ratuszu (we własnej sali sądowej) ten kandydat zastawał wójtem, który otrzymał największą ilość kresek. Po wyborze, który musiał jeszcze być zatwierdzony przez radnych i magistrat, wójt składał przysięgę.

Stanisławowska gmina ormiańska była początkowo zwolniona od wszystkich opłat handlowych i cel, to też nie dziw, że Ormianie starali się o obywatelstwo „pokuckie”, (wówczas Stanisławów był jedyną domeną Pokucia), które uzyskać mogli za poręką dwóch obywateli miasta, lub całej rady Karsunachparamów.

Życie w gminie ormiańskiej pulowało bardzo mocno. Obok patryjchalnych i możnych rodów kupieckich Bogdanowiczów, Amirowiczów, Theodorowiczów, Warfanowiczów i Sołtanów skupiały się rzesze drobnych kupców i rzemieślników ormiańskich. Stanisławów, dzięki Ormianom nabrał wielkiego znaczenia handlowego, stał się niejako bazą handlu ormiańskiego dochodzącego poza ujście Dunaju Śląsk, Koronę i Gdańsk.

Charakterystycznym jest opis Stanisławowa przez podróżnika francuskiego D'Alejraca, z roku 1684 który między in. tak pisze: „Największym i najpiękniejszym ze wszystkich miast na Pokuciu jest Stanisławów, położony wśród pięknej równiny o 2 mile od Dniestru a obwarowany dużą fortyfikacją usypaną w sposób nowoczesny. Posiada on okazały pałac zbudowany

pięknie i ozdobnie z kamienia. Rynek, domy, mieszkańcy i arsenał celują nad wszystkimi innymi miastami Rusi Czerwonej. Ludność Stanisławowa składa się z Ormian i Wołochów (Ormianie z Mołdawji) bardzo bogatych. Wnosząc ze stroju mężczyzn i kobiet, jak również z częstych jarmarków, które co do bogactwa i różnorodności towarów nie ustępują jarmarkom Lwowa i Warszawy, możnaby nazwać Stanisławów sercem królestwa, lub okolica jego jest zupełnie zniszczona”. (D'Alejrak: „Les Anecdotes de Pologne”. Amsterdam 1699).

Czasy wojen króla szwedzkiego Karola XII z Augustem II i carem Piotrem, ujemnie odbiły się na Stanisławowie, który został kilkakrotnie obrabowany przez okupację wojsk saskich i inwazję wojsk moskiewskich. Kontrybucje wojenne i zwykły rabunek, wyniszczyły zupełnie ludność miasta, oraz gminę Ormiańską, która mimo tego, nadal ponosiła przyjęte na siebie ciężary podatkowe.

W pierwszych latach XVIII wieku, przypada najświetniejszy okres rozwoju Stanisławowa pod względem gospodarczym, a z nim potentatów kupiectwa ormiańskiego, które niepodzielnie oparowuje życie gospodarcze Pokucia i Czerwonej Rusi. Ormianie mając na uwadze szersze sprawy handlowe, przez co przyczynili się do rozwoju Pokucia, zaniedbali swych spraw wewnętrznych w mieście, co oczywiście wykorzystali żydzi i opanowali miejski teren do tego stopnia, że Ormianie musieli zwrócić się z „supliką” do dziedzica, w której m. in. czytamy: „... obciążenia i dolegliwości od synagogi żydowskiej licznie rozmnożonych, że przez swoją błękość wszelakiego rodzaju handle jakie się mogą znaleźć i szynki pod siebie

podgarnęli, tak, że chrześcijanie nie mogą mieć sposobu do ratowania się i do pomnożenia fortuny, tudzież do zarobków rzemieślniczych cechowych, w niwecz się obrócili, tak, że muszą jedni domostwa swoje żydom arendować, drudzy prawie opuszczać, nie mogąc skąd żyć i reparacji przewidować”.

Józef Potocki wysłuchawszy prośby Ormian, delegował specjalną komisję, która zbadawszy dokładnie stan rzeczy, przyznała pretensjom Ormian pełną słusność. W wyniku badań komisji, wydał Potocki szereg przepisów broniących drobne kupiectwo i rzemiosło ormiańskie, oraz zakazał żydom kupować od chrześcijan nieruchomości bez zezwolenia dziedzica, zabronił im prowadzić szynków w domach odnajmowanych i dzierżawionych od Ormian. Poza to wydał specjalne zlecenia dla szewców i kuśnierzy żydowskich, którzy niezorganizowani w cechach (jak Ormianie), przez niezdrową konkurencję podważali byt rzemiosła ormiańskiego, niemal doprowadzając go do kompletnej ruiny. Zarządzenia te nie potrafiły jednak podnieść z powrotem drobnego mieszczaństwa (kupiectwa i rzemiosła) ormiańskiego, zachwianego krecią robotą żydów, do pierwotnego stanu rozwoju, ponieważ czasy wojen turecko-rosyjskiej (1736—1739) i sukcesyjnej polskiej, a zwłaszcza napad kozacki na Pokucie, wyniszczyły zupełnie tę połać kraju Rzeczypospolitej.

Druga połowa XVIII wieku, zaznacza się upadkiem gminy ormiańskiej w Stanisławowie, upadkiem datującym się od chwili śmierci Stanisława Potockiego, a więc od roku 1760. Następne lata — pełne chaosu politycznego w Rzplitej również przyczyniły się do upadku drobnego mieszczaństwa ormiańskiego (i polskiego) w czym największą jednak rolę odegrała silna ekspansja żydów, niszczących — podobnie jak przedtem — niezdrową i pozbawioną wszelkich zasad etyki konkurencją drobne kupiectwo i rzemiosło. Nie pomogły nawet reasumowane w 1769 roku przez Jana Potockiego dekrety z lat 1716 i 1736., bowiem drobne kupiectwo i rzemiosło było już kompletnie rozbite i opanowane przez żydów. Wskutek zmienionej ogólnej sytuacji politycznej, oraz odcięcia przez wojska tureckie Mołdawji, tem samym pozbawienia kupiectwa ormiańskiego kontaktu handlowego z nią bogaci kupcy ormiańscy nawiązują stosunki handlowe z Węgrami, gdzie widzą dla siebie lepszą koniunkturę handlową, oraz masowo przenoszą się na Węgry. Z możnej i bogatej gminy ormiańskiej w Stanisławowie, która wzbudziła życie gospodarcze i kulturalne na Pokuciu, która prawie przez cały wiek nadawała temu życiu rozmach i pęd, pozostają jedynie niedobitki.

Dziś — prócz pożółkłych i wyblakłych aktów sądowych obrazujących historję Ormian na tej ziemi, zachowały się w Stanisławowie żywe pomniki kultury ormiańskiej w postaci nielicznych białych dworców, pochylonych wiekiem ku ziemi. W barokowych murach kościoła ormiańskiego, w pięknie zdobionych ornatkach, w barwnym ewangeljarum księdza Krzysztofa Zachnowicza — proboszcza ormiańskiego w Stanisławowie pod koniec XVII wieku — zostały zaklęte dzieje Ormian stanisławowskich — dzieje, które ożyły na kartach monografji dr Czesława Chowańca.

Tadeusz Kwaśniewski.

Piękno maszyn

Mówić o pięknie maszyn jest rzeczą dość ryzykowną, bo jest to kwestja indywidualnego gustu, a nasze pojęcia o pięknie ulegają częstej rewizji.

Piękno maszyn opiewają obecnie poeci — i nie mamy powodu przypuszczać, by te ich zachwyty nie były szczere.

Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dzisiejsze dzieła techniki, przy całej swej celowości, nie pozbawione są pewnego, oryginalnego piękna. Zagadnienie to naświetla doskonale dr. Feliks Burdecki w wydanym świeżo dziele „Życie maszyn” (wyd. Książnica - Atlas).

Oto, co pisze na ten temat:

„Z olbrzymiej ilości oddzielnych, lecz sumiennie ze sobą połączonych części składa się przyszły moloch pracy. Wszystkie śruby i śrubki, mutry, dźwignie, druty, tłoki i inne człony maszynowego organizmu spełniają swe ściśle określone role, odpowiadające ostatecznemu celowi. W tej właśnie celowości leży piękno maszyny. Inżynier odrzuca wszelką zbyteczną ozdobę, pragnie w dziele sw. u urzeczywistnić dostojną prostotę, stworzyć kształt, któryby zewnętrznym wyglądem odpowiadał wewnętrznej treści”.

Ale grają tu role i inne, niemniej ważne względy, natury raczej emocjonalnej. Spoglądając na samolot, czy auto, czy aparat telefoniczny, — nie zastanawiamy się nad tem, czy posiadają one skończenie piękną i estetyczną formę, czy skonstruował je naprawdę jakiś artysta.

Podziwiamy przede wszystkim ich wartości techniczne, wydajność pracy, ich znaczenie użytkowe. Martwa maszyna, dzieło trzeźwej, wyrachowanej

techniki, stała się dla nas czemś bliskim, niemal żywym.

I w ślad za tem następuje pewnego rodzaju przewartościowanie pojęć: piękno widzimy nawet w rzeczach, nie stworzonych ze względów estetyki, lecz interesujących nas bezpośrednio z uwagi na ich znaczenie praktyczne użytkitarne.

Tłómaczy się to do pewnego stopnia faktem, że dzisiejsza generacja nie może już sobie poprostu wyobrazić życia bez tych wszystkich olbrzymich ułatwień i udogodnień, jakie mamy maszynom i nowoczesnej technice do zarządzenia. Maszyna stała się nieodzowną częścią składową dzisiejszego życia. Jest niezbędna, — więc wydaje nam się piękna — i piękna tego w niej szukamy.

Inna rzecz, że obecnie i sam wynalazca czy konstruktor stara się usilnie o to, by swej maszynie nadać możliwie estetyczny wygląd. Wystarczy porównać pierwsze modele samochodów z dzisiejszymi wspaniałymi maszynami, by uprzytomnić sobie olbrzymią drogą, jaką odbyli inżynierowie, wynalazcy i technicy.

Więc jeżeli mówi się dziś o pięknie maszyn, to stwierdzić trzeba, że konstruktorzy ich liczą się poważnie z wymaganiem estetyki, łącząc „przyjemne z pożytecznym”.

Z punktu widzenia dotychczasowych pojęć o sztuce i pięknie można mieć pewne zastrzeżenia co do tej gruntownej ewolucji naszych zapatrywań, — ale musimy się z tem liczyć i pogodzić. Maszyna stała się naszym pomocnikiem i przyjacielem. A w przyjacielem szukamy zawsze piękna, przymykając nieraz pobłażliwie oczy na jego wady czy błędy...

(kr.)

Na najwyższy szczyt świata!

Cały szereg wypraw na Mount Everest nie doprowadził dotychczas do zdobycia największego wzniesienia na kuli ziemskiej. Trudności są rzeczywiście olbrzymie. Everest wznosi się na granicy Tybetu, Nepalu, a więc pośród krajów wyżynnych, słabo zamieszkałych i dzikich. Ekspedycje skazane są na własne zapasy, a do ataku na szczyt przystępują po długim marszu. Sam Everest ma wysokość 8840 m. (28995 stóp, na które liczą Anglicy). Wiadomo, że organizm ludzki nie znosi zbyt łatwo rozszerzonego powietrza i zmniejszonego ciśnienia, właściwego znacznym wysokościami. Jak stwierdza Hugh Routledge, kierownik sławnej wyprawy ostatniej angielskiej i autor książki na jej temat, powyżej 23000 wszelka przyjemność wspinania się ustaje, najdrobniejszy ruch staje się uciążliwym, człowiek popada w depresję, jakby był ciężko chory, obojętniejsze na niebezpieczeństwo i doznaje pokusy odpoczęcia — na chwilę lub na zawsze. Trzeba strasznej siły woli, aby nie poddać się i kroczyć ku wytkniętemu celowi.

Najstraszniejszą zapewne jednak przeszkodą w jego osiągnięciu stanowią warunki atmosferyczne i one to sprawiły, że najwyższego szczytu na świecie nie tknęła dotychczas ludzka stopa. Co pewien czas zrywają się wiatry, o jakich na mniejszych wysokościach nie mamy wyobrażenia. Niosą ze sobą tumany zlodowaciałego śniegu. Oto opis Routledge'a:

Na chwilę wcześniej panował dookoła spokój i cisza. W paru sekundach natura zdawała się, dostała ataku szału. Widnokrąg zniknął z oczu, wichura zerwała się z głośnym jękiem, a śnieg zaczął wirować wokoło nas w oślepiających olbrzymich płatach. Można sobie wyobrazić, jak to podziało na wycieńczonych trudem ludzi. Nie czuli koło siebie świata, okulary pokrył lód i trzeba je było odrzucić, a brwi zamarzły, czyniąc prawie niemożliwym widzenie czegoś choćby na odległość kroku. Była to dosłownie walka o życie.

Rzecz działa się na wysokości 27.000 stóp. Jak wiadomo, każda z wypraw i ta z roku bieżącego opierała się na systemie obozów, zapewniających zapas żywności, środków lekarskich i t.p. W wymienionej wysokości założono najwyższy z tych punktów oparcia i odesłano do poprzedniego tragarzy. Z trzech Anglików, biorących udział w wyprawie, jeden musiał poświęcić się i kierować tym odwołaniem, zrekując się tym sposobem nadziei zdobycia szczytu. Podjął się tego Longwood, z Routledgem został tylko Wyn Harris. Obaj byli wybrańcami z pośród setek alpinistów, którzy zgłosili się do wyprawy. I Routledge umiał rzeczywiście wybrać. Jego towarzysze wykazali zadziwiającą wytrzymałość i technikę.

Droga wiodła przez olbrzymie grzbiety, gdy wdarto się na tzw. Grzbiet Północny, trzeba było zejść w dół, tracąc z takim trudem osiągnięte wzniesienie. Wyn Harris postanowił to sobie ułatwić i zjechać po śniegu. Lecz wnet spostrzegł, że popełnił błąd, który może być ostatnim w jego życiu.

W sekundzie poczuł, że ześlizguje się nie ku przeloczy północnej, ale gwałtownie i ruchem jednostajnie przyspieszonym ku olbrzymiej przepaści ponad lodowcem Wschodniego Rongbuku. Na szczęście długie lata chodzenia po górach bez przewodnika wyćwiczyły go w każdym najmniejszym z ruchów, potrzebnym do tej niebezpiecznej gry. — Przewrócił się twarzą do zbocza, ujmując silnie z obu stron rękojeść czekana rękami, mocno przyciśniętymi do pierśi. Powoli odwracał ostrze do stwardniała-

go śniegu, aż zaczęło ono ryc głęboką brózdę i osłabiło tempo spadania. Gdyby to był zrobił zbyt szybko, czekana byłby wyrwał mu się z ręki i katastrofa byłaby nieuchronna. Powiedział mi później, że choć szło tu naprawdę o sekundy, miał wrażenie że upływają minuty. Pamiętał, że w miarę, jak ostrze czekało na wbił się w śnieg, pokazało się jakby białe piarżę, wyrzucane w górę z tworzącej się rury. To systematyczne hamowanie zatrzymało go w sam czas, nad samym brzegiem urwiska.

O owych towarzyszach mówi Routledge:

Tu nie szło o jeden akt odwagi, przy którym krew kipi w żyłach lecz o powolny, wytrwały, przewlekły atak na straszliwą górską warownię. Byli z nich bardzo dumni.

Nie mniej chwałobnie zachowywali się tragarze z góralskiego plemienia

Szerpa — Tybetańczycy patrzyli ironicznie na przedsięwzięcie, które wydawało się im bezcelowym i warjackiem. Ale ludzie, których Anglicy wybrali sobie do pomocy, odznaczali się taką samą zawziętością, jak oni. Na wysokości 17 tysięcy stóp jeden z tragarzy, który do ostatniej chwili pełnił służbę i nie skarżył się na żadne dolegliwości, upadł nagle. Pokazało się, że ma obustronne zapalenie płuc. Routledge miał go za straconego, a ponieważ górą oświadczył, że pójdzie na dół, zgodził się na to. Uważał, że wszystko jedno, czy zostawi go w obozie bez opieki lekarskiej, czy pozwoli mu próbować dojścia do siedzib ludzkich. W miesiąc później, tragarz, zdrów zupełnie, zgłosił się w naj-

niższym obozie, prosząc, aby go napowróć przyjąć do służby.

Szczytu nie zdobyto. Jedyną zapłatą za straszliwe trudy były wspaniałe widoki. Jeden z nich opisuje Routledge, jak następuje:

Nagle znaleźliśmy się w obliczu strasznego wznoszącego się północno-wschodniego ramienia góry, sześć tysięcy stóp usypiska splekanych głazów i zasypanego przez lawiny żlebu a ponad to wszystkim na prawo wznosił się zasypany skałami stożek, od którego powiewała długa chorągiew chmur i śniegu ponad Nepalem. To wierzchołek

Routledge może być dumny, że choć celu swego nie osiągnął, był bardzo blisko zwycięstwa, a odwrotu dokonał szczęśliwie, nie tracąc ani jednego człowieka. Już po jego próbie próbowała zdobycia Everestu ekspedycja niemiecka. Wszyscy trzej jej uczestnicy — zgineli.

A. E.

William Hogarth (27.III.1698 - 28.X.1764)

Stosiedmdziesiąta rocznica śmierci Hogartha przypominała nam postać tego wielkiego artysty, niedocenianego należycie przez współczesnych, a będącego prawdziwym unikatem w historii sztuki angielskiej.

Przez szereg lat — na podstawie licznych jego szychów — uważano go jedynie za złośliwego satyryka, który w swoich miniaturowych przedstawiał we wkleślem zwierciadle życie współczesnej Anglii, atakując ze szczególną pasją panoszące się wówczas: rozrzutność, lekkomyślność, obłudę i przekupstwo.

Miano mu nawet za złe, że swoimi cyklami miedziorytów obniżał prestiż imperium brytyjskiego, znajdującego się właśnie w stadium potężnego rozwoju i ekspansji politycznej.

Dopiero pierwsza zbiorowa wystawa jego dzieł w roku 1862 odsoniła prawdziwe oblicze artysty, pociągając za sobą gruntowną rewizję dotychczasowych sądów i poglądów na jego działalność artystyczną.

Odtąd odróżniać trzeba Hogartha — rytownika od Hogartha — malarza. Pod tym kątem widzenia patrzeć musimy na całą jego twórczość.

A twórczość to bogata i wszechstronna. Młody Hogarth, syn skromnego nauczyciela, wstępuje na naukę do złotnika. Pracuje sumiennie, siedząc przy warsztacie i kreśląc rylcem herby i ornamenty. W wolnych chwilach włóczy się po ulicach Londynu, chłonąc ciekawym wzrokiem różnobarwne życie wielkiego miasta.

Jako 22-letni młodzieniec otwiera własny sklep miedziorytniczy. Robi wszystko, co mu każą: herby tabliczki firmowe, karty tytułowe, ilustracje.

Równocześnie jednak uczy się malarstwa, do którego czuje nieprzerparty pociąg. Może sobie na to pozwolić, bo przedsiębiorstwo idzie dobrze. Naukę pobiera u słynnego malarza nadwornego, sir Jamesa Thornhilla.

Pierwsza próba na tem polu przynosi mu też pierwsze bolesne upokorzenie: wymalowaną dużą fantastyczną kompozycję „Element ziemi” odsyłają mu spowrotem, — bo przecież nie jest on malarzem, lecz rytownikiem!

Ale Hogarth nie zniechęca się. Spod pędzla jego wychodzi cały szereg obrazów i portretów. Cóż, kiedy nie umie schlebiać, nie umie kłamać, — maluje to, co naprawdę widzi. Portretuje jakiegoś starego lorda z fotograficzną wier-

nością, nie upiększając ani trochę jego obrzydliwej fizjonomii. Zamówiony portret odsyłają mu spowrotem.

„Jeśli wasza lordowska mość, — pisze Hogarth, — portretu swego nie odbierze do trzech dni, domaluję na nim ogon i inne potrzebne akcesoria i pošle go właścicielowi menażerji, który wiewie go na ścianie swej budy”.

Lord zapłacił umówioną cenę, zabrał portret i spalił go natychmiast.

Rozżalony temi niepowodzeniami przerzuca się Hogarth do innego działu sztuki. Tworzy swe słynne cykle obyczajowe, miniaturowe miedzioryty, uwieczniając na nich znane na bruku londyńskim postacie.

Pracuje dla chleba, schlebając gustom i upodobaniom publiczności. Zdobyla ją szturmem, cykle jego są rozchwytywane. Wyszły z nich w sposób bezwzględny wszystkie wady i słabości ludzkie, tworząc znakomite obrazy obyczajowe, pełne ruchu, życia i wyrazu, — czy to będzie „Smak wielkiego świata”; czy „Jarmark w Southwark”, czy „Modne małżeństwo” lub „Żywot rozrzutnika”.

Nie wyrzeka się jednak malarstwa, dochodząc i na tem polu do szczytów artyzmu. „Dziewczyna z krwewkami”, dwa portrety jego przyjaciela słynnego Dawida Garricka, dwa autoportrety i wreszcie wspaniała „Sigismonda”, — to dzieła, które ugruntowały sławę Hogartha jako jednego z najwybitniejszych malarzy angielskich.

Próbuje też swych sił w malarstwie religijnem, ofiarowując dla szpitala św. Bartłomieja swe kompozycje „Jeziro Betsaidy” i „Dobry Samarytanin”. Spod jego też pędzla wyszły trzy wspaniałe obrazy przeznaczone dla kościoła St. Mary — Redcliffe w Bristolu: „Złożenie do grobu”, „Wniebowstąpienie” i „Trzy Marie”.

Niemalą przykrości sprawił Hogarthowi wydana przez niego w r. 1753 rozprawa „Analiza piękności”, stanowiąca niejako jego artystyczne „credo”.

W rozprawie tej, operując zresztą dość naiwnymi argumentami, nie wytrzymującami rzeczowej krytyki, występuje Hogarth jako zdecydowany wróg prostej linii w malarstwie. Prostoliniowość jest mu równoznaczną z akademicką nudą i bezdusnością, brakiem smaku i elegancji. Wszystko co żyje, co jest pięknem, wyrażać się powinno kapry-

śną serpentyną, linijami węzłowymi, jak wąż, płomienie..

Dzieło to wywołało liczne komentarze i druzgocącą krytykę. Jest ono jednak interesujące i cenne z tego względu, że pozwala nam poznać Hogartha jako prawdziwego mistrza pędzla, świadomego doskonale swych środków. Uwagi jego na temat harmonji barw i ich należytego doboru są nie tylko bardzo ciekawe, ale i nadzwyczaj trafne.

Dopiero po zapoznaniu się z całą twórczością Hogartha możemy ocenić go należycie i poznać jego prawdziwe oblicze. Ten złośliwy satyryk, za jakiego uważali go współcześni, — ten, zdawałoby się, zakamieniały wróg piękna, — był w rzeczywistości prawdziwym entuzjastą piękna, którego szukał przez całe życie.

Tragedją jego było, że współcześni nie doceniali go jako malarza, traktując tę dziedzinę jego twórczości lekceważąco i pogardliwie.

Niezrozumiany, odepchnięty, zamknął się w sobie, odpowiadając na tę niesprawiedliwość ostrą, złośliwą satyrą.

I trzeba było długich lat, zanim krytycy i historycy sztuki wyznaczyli mu należne miejsce, w pierwszym szeregu mistrzów angielskich, — miejsce, należne mu należne. (R.)

Walka z żółtą febrą

Wnioskując z wyniku najnowszych badań i doświadczeń, przeprowadzonych w Afryce przez doktora Laigret z Instytut Pasteura w Tunisie, — można się spodziewać, że już wkrótce zniknie ta straszna plaga ludzkości, dziesiątkująca zwłaszcza białych ludzi w krajach podzwrotnikowych.

Dr. Laigret wyprodukował specjalną surowicę przeciw tej chorobie, zupełnie immunizującą zaszczepionego.

Pierwsze próby z nową szczepionką przeprowadził na samym sobie, poddając się następnie ukłuciu komarów, roznościcieli żółtej febrы.

Wobec pomyślnego wyniku tej próby zaszczepiono już dotąd ponad trzy tysiące osób, przeważnie białych.

Wyniki swych badań przedłożył odkrywca paryskiej Akademji nauk.

Obecnie już produkuje się duże ilości tej szczepionki w Dakar

Zboża i ich historia

Nie posiadamy dowodów historycznych albo przyrodniczo-historycznych, na podstawie których możnaby stanowczo stwierdzić, że żyto jest najpierwotniejszą formą i protoplastą zbóż, jak też nie wiemy, w którym kraju szukać ojczyzny zbóż. Wiemy jednak, że tak fauna jak flora, ulegały w ciągu wieków samorzutnej selekcji i wielkim przeobrażeniom, tworząc z najpierwotniejszych form twory uszlachetnione, wyższe i dla człowieka użyteczne.

Żyto jest wśród zbóż rośliną uprawną najbardziej odporną i najmniej wymagającą. Od bardzo dawnych czasów znano żyto jako roślinę uprawną i użytkową, a także dziko rosnącą w zachodniej Azji, w Afganistanie i w Persji. Niektórzy uczeni i archeologowie utrzymują, że w zamierzchłych czasach uprawiano żyto w tych krajach, lecz z czasem zaczęto tam uprawiać pszenicę i jęczmień, a żyto stało się chwastem, zarieczyszczającym pola uprawne. Nie w całej jednak Azji uważa się żyto za dziko rosnącą roślinę, gdyż w krajach górzystych Afganistanu i Buchary uprawia się je dla chleba i tam właściwie szukać należy pierwotnej uprawy i dowodu starożytności żyta.

W dziejach żyta stwierdzamy wielce charakterystyczne zjawisko. Tam, gdzie rolnicy uprawiają żyto masowo w jakiejś takiej kulturze, uprawna ta roślina wykazuje małą ilość odmian i ma wiele różnic morfologicznych i botanicznych, dając wszędzie ziarno o jednakich własnościach i jednej wartości. Natomiast tam, gdzie żyto, jako chwast, rośnie dziko i zanieszcza pola pszeniczne i jęczmienne, znajdujemy u tej rośliny niebywale bogactwo form.

W samej Azji zachodniej znaleziono około 20 form dzikiego żyta, o kłosach barwnych, nie tylko czerwonych lub żółtych, lecz również buraczkowego koloru, a nawet czarnych. Słoma i kłos dzikiego żyta są kruche, ziarno wypada jeszcze przed zupełną dojrzałością, a wiatr i woda roznoszą je szybko w dal. Ziarno to okazuje się nadzwyczaj wytrzymałym, odpornym i rozrodczym, kiełkuje bujnie na najgorszych glebach i nie jest nawet wrażliwe na kwasotę roli albo na niepomyślny klimat. To też wszędzie tam, gdzie okres wegetacyjny jest krótki, gdzie gleba jest licha i mało kulturalna, gdzie rolnictwo stoi na niskim poziomie, — spotykamy się z uprawą żyta. Nie trudno też zrozumieć, dlaczego człowiek posuwając się ku północy, przestaje uprawiać inne zboża, a zapoczątkowuje uprawę żyta.

To też z wielkim prawdopodobieństwem można przypuścić, że już w bardzo zamierzchłych czasach człowiek zapoznał się z uprawą żyta i wogóle z tą pożyteczną rośliną, którą wszędzie znalazł, gdziekolwiek zapędziło go koczownicze, pasterskie życie. Odporna ta roślina rosła wówczas tak na południu, jak na północy we wszystkich częściach świata dziko i w wielu formach i z czasem zaczęto ją uprawiać tam, gdzie tylko człowiek poznał smak chleba. Kultura rolnicza i choćby samorzutna, przypadkowa selekcja, jak też dobry klimat i gleba, mogły z czasem przyczynić się w dolinie Nilu i w Mezopotamji do powstania nowych odmian zbóż i na tej podstawie można pochodzenie zbóż sprowadzić do jednego źródła, możliwie do pierwotnej formy żyta, *Secale cereale*.

W północnej Afryce i nad morzem śródziemnym znajdujemy bardzo wiele form pszenicy barwnej, dającej nawet ziarno barwy purpurowej z odcieniem fioletowym, różnej postaci kłosa i bardzo długie ości, a różnie zabarwioną słomę. Wszystkie te formy krzyżują się ze sobą bardzo łatwo, tworząc ciągle nowe odmiany i dają ziarno różnej wartości i plenności. W Małej Azji i w Persji znaleziono pszenicę rosnącą dziko, jednoziarnowa, znaną w botanice jako *Triticum monococcum*. O roślinie tej wspomina Arystoteles, że służyła jako pokarm dla zwierząt domowych, a mówi o tem również inni pisarze greccy. Rolnictwo Małej Azji i w Turcji jest jeszcze wlece prymitywne. Istnieje tam dwupółwka, uprawia się tylko pszenicę i jęczmień na przemian z ugorem. Obecnie szuka się dla tamtej okolicy rośliny okopowej, którą można z korzyścią uprawiać i wprowadzić trójpółwka. Ten niski stan rolnictwa tych okolic sprawia, że pojawia się tam zboże dziko rosnące, co nie może być jednak dowodem, że nasiona zbóż sprowadzono stamtąd do Europy jako nowość.

Jęczmień rośnie również dziko tak w Azji jak w Afryce i wykazuje tam wiele różnorodnych form, powstałych z *Hordeum spontaneum* z tą jednak różnicą, że jęczmień sięga daleko w głąb Azji do Chin, Tybetu i Japonii. W północnej Afryce, zwłaszcza w okolicach górzystych, jęczmień odznacza się szerokimi łuskami kłoskowymi jest ościasty, słomiasty, zwykle dwurzędowy, bez bocznych kłosek i ma omszoną łuskę kwiatową. Natomiast w Azji jęcz-

mień jest nagoziarnisty, posiada krótkie ości i daje ziarno dojrzewające nierównomiernie, zwykle mało płodne.

Egipcjanie i starożytni ludy Azji nie znali owsa i na tej podstawie powstało twierdzenie, że owies jest rośliną czysto europejską. W ostatnich jednak dziesiątkach lat znaleziono w Afryce na wybrzeżach Morza Śródziemnego owies typu *Avena sativa*, w bardzo różnych formach, który nazwano *Avena sterilis* i *bysantina*. Odmiany te, uprawiane w Afryce, są odporne na rdzę i są bezpłodne, gdy się je skrzyżuje z owsem europejskim. Jedynie afrykański owies, dziko rosnący, tak zwany *Ekavena*, zbliżony jest do owsa uprawianego w Europie. W Chinach natomiast uprawia się owies zbliżony do europejskiego.

Prof. Wawitow, badając w 1916 r. formy pszenicy w Persji, zauważył, że obok żyta zanieczyszczają ją silnie owies, bardzo różnorodnej formy. We wszystkich krajach spotyka się też obok pszenicy owies, jako chwast i gdzie warunki wzrostu dla pszenicy są gorsze, tam owies bierze górę, jako roślina bardziej wytrzymała i odporna. Przeciwnie żyto rywalizuje z owsem pomyślnie.

Należałoby jeszcze poruszyć pochodzenie trzech roślin uprawnych: prosa, lnu i konopi. De Candolle, biorąc pod uwagę dane historyczne i lingwistyczne, utrzymuje, że proso pochodzi z Egiptu lub Arabji. Gdy się jednak uwzględni wrażliwość prosa na niskie temperatury, jakoteż to, że w Mongolji i Mandżurji znaleziono ponad 60 form botanicznych prosa, z pewnem prawdopodobieństwem

można twierdzić, że proso pochodzi ze wschodniej Azji, gdzie rośnie bujnie dziko i w wielkiej ilości. Z tych okolic przyszło do Europy proso, znane w botanice jako *Panicum miliaceum*, odmiana miotlasta, z charakterystyczną wiechą.

Uprawa zaś lnu, pochodzącego z dzikiego *Linum usitatissimum*, kwitła w starożytnych czasach w azjatyckich Indiach, w Afganistanie i Turkiestanie, również w Egipcie, Algierze i Tunisie, a potem w Hiszpanji, we Włoszech i w Małej Azji.

Ludy azjatyckie uprawiały len dla produkcji oleju, rzadziej dla włókna i lny tamtejsze odznaczają się bardzo drobnym kwiatem i drobnym nasieniem. W Afryce zaś i nad Morzem Śródziemnym len posiada kwiat większy i daje wielkie nasiona. W Hiszpanji, we Włoszech, w Krainie i Karyntji uprawia się len ozimy, który posiada krótkie łodygi, a nie zato większą ilość pędów i rozkrzewia się silnie. Taki len daje więcej ziarna a mniej włókna, aniżeli len uprawiany na północy, o źdźbłach wysokich i dłuższych, bogatych w włókno.

We wschodniej Europie i w Azji znaleziono wiele dzikich form konopi, zanieczyszczających jako chwast pola zbożowe. Formy dzikie rosną nierówno i powolnie, mają nasienie małe i wymagają ziem bogatych w pokarmy i urodzajnych. Południowe formy dochodzą olbrzymiej wysokości, mają duże liście i wielkie nasiona, gdy północne są mniejsze i długo dojrzewają.

Możliwe, że te dzikie formy najważniejszych roślin uprawnych dowodzą, że Azja względnie Afryka dostarczyła Europie nasienia głównych produktów rolnych, zawsze jednak teza ta wymaga dalszych badań.

Dr. J. S.

Dramat o Oskarze Wilde

Maurycy Rostand napisał sztukę o Oskarze Wilde. Ma ona być grana po raz pierwszy w Paryżu, w dzień Nowego Roku.

Jak wiadomo, Wilde ściągnął sam na siebie katastrofę swego życia, wnosząc przeciw lordowi Queensberry skargę o oszczerstwo. Proces przyniósł dowód prawdy i z kolei Wilde stanął przed sądem jako oskarżony o niemoralne czyny, ażeby z wielkiego świata londyńskiego powędrować do więzienia, ażeby z subtelności piękno-ducha i ośniewającego Europę arystokraty zmienić się w — numer, traktowany z całą ówczesną surowością.

Po odbyciu kary spędził ostatnie lata życia w Paryżu, biedując, naciągając ludzi na pożyczki, których nie mógł zwrócić, i oddając się pijaństwu.

Jednym słowem, więzienie złamało Wilde'a.

A jednak medal ma i odwrotną stronę. Jego wcześniejsza twórczość odznacza się świetnością formy, dowcipem, błyskotliwością, a przecie brakiem w niej uczucia, natchnienia, szczerości. Są to z talentem uprawiane igraszki umysłowe i wyborne naśladownictwa. Dopiero cierpienie dobyte z piersi Wilde'a akcenty głębsze — w „Balladzie więzienia w Reading” i w „De profundis”

Takie mniej więcej rozważania stały się punktem wyjścia dla Maurycyego Rostand'a. W wywiadzie, jakiego udzielił on przedstawicielowi Reutersa, zwrócił on uwagę, że Wilde odnalazł prawdziwego siebie samego dopiero przez cierpienie. „Czem byłby Napoleon bez

Sw. Heleny? Czem byłby Wilde bez więzienia w Reading?”

Tak zrodził się problem: Czy Wilde'a ku tragicznej katastrofie popchnęła wewnętrzna świadomość prawdy, że jedynie przez boleść dojdzie do treści swej duszy, czy też wynikało to ze snobistycznej dbałości o reputację, którą poeta zawsze ostentacyjnie lekcewał?

Rostand nie wyjaśnił, jaką poszedł drogą w owym dramacie, ale można domyślać się, że przychylił się do pierwszego wyjaśnienia, bo przecie gdyby przyjął drugie, nie byłoby konfliktu psychologicznego. A może działają u jego Wilde'a oba motywy — snobizm świadomości i powierzchownie, dążność do pogłębienia własnego życia i twórczości przez cierpienie podświadomości, ale rozstrzygająco. Zobaczymy za parę tygodni.

Wiemy z życiorysu Wilde'a przez Franka Harrisa, że ten wieczorem przed rozprawą przeciw lordowi Queensberry radził autorowi „De profundis”, aby zamiast popierać swoje oskarżenie wyjechał natychmiast na kontynent, ogłaszając, że wrodzona subtelność nie pozwala mu poddać się wobec tysiąca ciekawych nieznośnym trywialnościom procesu. Świadkiem rozmowy był i Bernard Shaw, który świadczy, że Wilde żądał od Harrisa, aby ten pozwolił się powołać na świadka i zeznał, że uważa „Doriana Gray'a” za książkę moralną.

— Ależ tam nie będą zajmowali się pańską twórczością. Queensberry i Carson (jego adwokat) mają świadków...

Nie zdaje pan sobie sprawy z grozy położenia.

Wilde obraził się i ostatecznie odszedł, mówiąc gniewnie, że poznał się na prawdziwej i pozornej przyjaźni.

Ten epizod — zapewne przetworzony w myśl koncepcji Rostand'a — stanowić ma pierwszy akt sztuki. Zda się, że Shaw'a w nim nie będzie. Nie wypada wyprowadzać na scenę żyjącego człowieka.

Rzecz dzieje się w separacie w hotelu Savoy. Lord Queensberry szuka Wilde'a i każe mu powiedzieć, że chciałby się z nim zobaczyć. Potem wracają z przedstawienia „Kobiety bez znaczenia” Wilde i Harris, który na próżno usiłuje namówić poetę, aby nie prowadził przeciw lordowi sprawy o oszczerstwo.

Akt drugi dzieje się w sądzie. Rostand oparł się wprost na protokole procesu. W pierwszej scenie Carson zadaje Wilde'owi pytania. W drugiej przedstawiony jest dramatyczny moment, w której Carson zapowiada dowód prawdy i wylicza świadków, których powołuje. Adwokat Wilde'a Sir Edward Clarke okazuje niepokój — wiadomo, że podjął się sprawy pod warunkiem, że poeta powie mu całą prawdę, a gdy okazało się, że tak nie jest, złożył zastępstwo — i to był punkt przełomowy w procesie i całym życiu Wilde'a. Scena trzecia przynosi wyrok.

Ostatni akt pokazuje Wilde'a, piszącego w więzieniu „De profundis”.

W. T.

Panorama polityczna Indyj dzisiejszych w perspektywie historycznej

O Indjach wie się u nas naogół niewiele — poza tem, że leżą w Azji i były doniedawna jeszcze krajem tajemniczym, pełnym cudów i osobliwości, a obfitującym w legendarne niemal bogactwa i że się tam na kamieniu ródzą cudotwórcy w postaci fakirów i „jogów“ (poprawnie: joginów). Ten i ów słyszał nadto cośnecio o Buddzie i buddyzmie, o Mahabharacie i Ramajanie, poniekąd wie, że święte księgi indyjskie nazywają się Wedami, a klasyczny język staroindyjski sanskrytem (nazwę tę zresztą niektórzy — dla łatwiejszego zapamiętania i powiązania z czemś bardziej znanym — zmieniają sobie bez wielkich skrupułów na „sanskrypt“, co sam słyszałem), że Hindusi wytworzyli nawet jakieś systemy filozoficzne i że Aleksander W. zapuścił się w tamte strony gdzie jeszcze za króla Cwiczka, lecz musiał, rad nierad, zawrócić z powodu oporu wojska, że namiast Anglikom trochę później udało się zawojować ów kraj. Wybrańcom losu wiadomo nadto, że liczba mieszkańców tego kraju, dziesiątkowanych niejednokrotnie przez zarazy głód, drabieżne zwierzęta i jadowite węże, wynosi i tak przeszło jedną szóstą cyfry całej ludzkości; że Indie dostarczają światu herbaty, bawełny, wełny, skóry, juty (tj. konopi krajowych), trzciny cukrowej, korzeni, daję — choć w mniejszej mierze — kawy, tytoniu, opium, chininy (której nazwa niema nic wspólnego z Chinami, lecz jest pochodzenia peruwiańskiego), kauczuku, indyga (tak nazwanego od Indji jeszcze przez Portugalczyków, którzy je pierwsi stamtąd sprowadzili); że nowoczesna filozofia europejska, stworzona przez Blawacką, Besantową i Steinera, zasila się przede wszystkim koncepcjami indyjskimi; że wreszcie w Polsce jest garstka takich mente capti, którzy — o zgrozo! — zawodowo lub też — chyba jeszcze gorsze — z amatorsztwa zajmują się bliżej owym krajem, jego dziejami, literaturą, filozofią, religią, nie mówiąc o zakazanym sanskrycie. Największy może odsetek czytelników spoziera na Indie z odrazą albo (bez obrzydzenia?) z podziwem (a może i wdzięcznością?) jako na ojczyznę Watsajajany, autora sugestywnej Kama sutry. W ostatnich latach wreszcie szerząca publiczność miała sposobność poznać także i poczytać trochę w dziennikach o Gandhim i jego kozie oraz o ruchu niepodległościowym. Jeżeli kto z Czytelników niniejszego artykułu wie znacznie więcej, niż dotychczas wyliczyłem, sędze, że może z dumą wąsą podkreślić (o ile go nosi); na czytelnicki niebardzo liczę (też bez obrzydzenia), choć oczywiście nęmałoby mi pochlebało...

Z dzienników wiedzą też pewnie pilni czytelnicy że ostatnich kilkanaście lat przyniosło dosyć widoczne zmiany w układzie stosunków wewnętrznych Indji: wzrosło znaczenie i wpływy państw i państewek, leżących poza obrębem terytoriów angielskich. Może zatem nie od rzeczy będzie rozszerzyć trochę i pogłębić te wiadomości o tyle, o ile da się to skutecznie w szczupłych ramach artykułu, — zwłaszcza że podobno zanosi się na nawiązanie bliższych stosunków z Indjami i prosty interes kupiecki nakazuje wybadać, na czem taki sąsiad siedzi (hunny soit...).

Nie może bowiem ulegać wątpliwości że całokształt wzajemnego ustosunkowania się Anglików i Hindusów w przeszłości i w teraźniejszości znane powiedzonko: „Zrazu Anglicy mieli doświadczenie, a Hindusi pieniądze; teraz odwrotnie: Hindusi mają doświadczenie, a Anglicy pieniądze“ nie wyczerpuje.

A teraz już in medias res!

Państwa i państewka indyjskie, których łączna liczba wynosi 562, zajmują 2/5 obszaru półwyspu, a żyje w nich około 80 milionów mieszkańców tzn. przeszło 1/5 ludności całych Indji. Większych państw jest 108; obszar ich

wynosi 515.000 ang. mil. kw., ludność zgórą 60 milionów, a dochody, razem wzięte, przeszło 420 milionów rupij (tj. dobrze ponad miliard zł.) — z 460 milionów ogólnego dochodu wszystkich państw indyjskich; władcy wchodzą w skład Izby książąt. 127 dalszych państw z obszarem 77.000 ang. mil kw. i ludnością zwyż 8-milionową reprezentowanych jest w Izbie książąt przez 12 członków, których sobie same wybierają. Mniej więcej połowa tych 235 państw należy do kategorii, tzw. „salute States“ tj. państw których władców wita się strzałami armatnimi. Pozostałych 327 państewek ma niewiele znaczenia; są one państwami tylko nominalnie. Oczywiście i wśród owych 127 państw są mało znaczące. Cała skala zaczyna się takimi terytoriami, jak Hajderabad, Majsur, Baroda czy Trawankor lub Kaszmir, posiadającymi najnowocześniejszą administrację i wielkie dochody, a kończy na takich które obejmują obszar kilkuset ang. mil. kw., mają władzę ściśle ograniczoną i są lennikami państw większych, przyczem rząd angielski zobowiązuje się bronić ich przed uciskiem.

Z punktu widzenia historycznego podzielić można państwa indyjskie na: państwa radżputów (tj. jakby szlachty rycerskiej) wraz z Kaszmiem, państwa mahometańskie, państwa Marathów, państwa „sikhów“, państwa południowo-indyjskie wraz z Majsur i lenne państwa Oryssy.

Najliczniejsze są państwa radżputów. Zajmują też największy obszar: całą Radżputanę i półwysep Kathjavar (płn. zachód Indji); do czasu powstania potęgi Marathów mieli radżputowie przewagę także w Indjach środkowych, gdzie i dziś jeszcze pozostało kilka państw radżpuckich (przedewszystkiem Rewa i Orczha). Poza tem znajdują państwa radżpuckie na terenie Biharu, Oryssy i Prowincji Zjednoczonych (tj. Agry i Audh). Od Indusu do zatoki Bengalskiej ciągnie się długi pas półniezależnych państewek radżpuckich. Pół tysiąca lat — od w. VII do w. XII — trwała wojskowa hegemonja radżputów na północy kraju, a ten naprawdę złoty okres Indji zakończył się z opanowaniem ich przez mahometan. Przeszło sto lat rycerstwo radżpuckie stawało dzielnie opór najazdom wroga, aż musiało uznać sprawę za przegraną i schronić się do twierdz w Radżputanie, Indjach środkowych i na Kathjavarze, gdzie zostało się do dziś, nie zatraciwszy swego charakteru mimo siedmiu wieków rządów mahometańskich. Za rządów mogolów tj. mongolskich władców (od w. XVI—XVIII) radżputowie odzyskali swe znaczenie: ich zastępy walczyły pod własnymi wodzami na wyżynach afgańskich, z księżniczkami radżpuckimi żenili się cesarze - mogolowie, a książęta radżpucki byli rządcami prowincji. Przez cały w. XVIII toczą radżputowie walkę na śmierć i życie z świeżo powstałą potęgą szczepu Marathów (hinduscy mieszkańcy kraju Maharasztra, ciągnącego się wzdłuż wybrzeża zachodniego aż po portugalską kolonię Goa); w walce tej, która zakończyła się dopiero z opanowaniem Indji przez Anglików (gdzie dwóch się bije...), radżputowie utracili większą część swych ziem na rzecz Marathów, a wiele ich państw w Indjach środkowych i na Kathjavarze stało się lennem Marathów. W Kaszmirze większość mieszkańców przyjęła mahometanizm, gdy wszedł w skład państwa mogolskiego. Z czasem zawładnęli nim sikhowie, a potem Anglicy i ci sprzedali go jednemu z radżputów, przodkowi dzisiejszego władcy.

Z państw mahometańskich największe znaczenie mają: Hajderabad, Bhopal, Bahawalpur, Dżunagadh, Khairpur i Rampur. Upadek potęgi mogolów stworzył podłoże dla ich powstania: Hajderabad założył w początkach w. XVIII wybitny generał Asaf Dżah; inny generał utworzył państwo Bhopal w tym samym prawie czasie, a podobnie po-

wały także: Dżunagadh i Rampur. Khairpur i Bahawalpur były pierwotnie lennami państwa kabulskiego (na płn. zachodzie Indji).

Twórcą państwa Marathów był bohater Siwadżi (druga połowa w. XVII), który za cel sobie postawił uwolnienie kraju z pod jarzma mahometan; dzięki stopniowemu upadkowi potęgi mogolów, następcy Siwadżego mogli posiadać swe jeszcze rozszerzyć. Gdyby Marathowie byli połączyli się z radżputami, mogli byi zadać ostateczny cios państwu mogolów i zniszczyć wszelkie ślady panowania mahometańskiego. Woleli jednakże niszczyć polityczne twory radżputów i wyrąbać sobie w ten sposób wielkie prowincje: Barodę z lennami na Kathjavarze; Gwaljor, Indor i Nagpur w Indjach środkowych. W połowie w. XVIII państwo Marathów obejmowało większą część Indji środkowych, a stanowiło luźną konfederację dużych prowincji, uznających zwierzchnictwo centralnej władzy, tzw. peszwy, w Pune (Poona); Hajderabad i dalsze terytoria płaciły haracz. Państwa sikhów (tj. uczniów) — pierwotnie sekty religijnej, założonej przez guru (tj. mistrza) Nanaka w w. XV, później (od końca w. XVII) potężnej organizacji politycznej — utworzyli wojsko wi naczelnicy tej organizacji. Państwa te to Patiala, Nabha, Dżhind, Kapurthala i in.

Majsur było zrazu (w w. XV) lennem potężnego królestwa widżajanagarskiego (na południu), a z upadkiem tegoż w połowie w. XVI zaczęło się rozrastać. Podobnie rozwijał się Trawankor, założony w początkach w. XVIII przez jednego z przodków dzisiejszej dynastji tam panującej.

Lenne państewka Oryssy zamieszkałe są przeważnie przez szczepy tubylcze, a rządzą nimi częścią radżputowie, częścią zaś rody z domieszką krwi radżpuckiej. Zrazu holdowały one władzy mogolów, później Marathów, a od połowy ubiegłego wieku zależą w pewnej mierze od Anglików.

Gdy w połowie w. XVIII, po uporaniu się z konkurentami francuskimi, Anglicy (dokładniej: Kompanja Wschodnio-indyjska, od której rządy przejęła Korona dopiero w r. 1784 na mocy tzw. Pitt's India Act), opanowali Bengal, Marathowie byli u szczytu potęgi. Trzeba było obwarować się przymierzami odpornymi, zawieranymi na mniej więcej równych warunkach, ze wszystkich stron: na południu (z Hajderabadem i Trawankorem), na północy (z Audh) i w Indjach środkowych (z Barodą). Dopiero po podbiciu Majsuru (z końcem tegoż wieku) stanęli Anglicy do walki z Marathami. Po dwu krwawych wojnach potęga Marathów legła (w r. 1819) w gruzach. Tymczasem odnowiono przymierza, lecz na innych warunkach: Anglicy ustanowili protektorat wojskowy, umieszczając w każdym z państw znaczne siły pod dowództwem własnych oficerów, nie mieli się jednak mieszać do administracji. Wszelako faktycznie od r. 1813 osadzono na dworach większych państw rezydentów z władzą niemal dyktatorską. Niezadługo też nadarzyła się kilkakrotnie sposobność wmięszania się w wewnętrzne sprawy państw pod pretekstem poprawiania stosunków, zespsutych przez złe rządy i przywracania porządku. Anglicy obejmowali również opiekę nad rządami regencyjnymi w wypadkach małoletności książąt, zaczęli sobie przysądzać państewka w razie wygaśnięcia rodu rządzącego, nie pozwalając na adoptację (tak zrobili np. z Satara, Nagpurem i in.). Oczywiście, że w ten sposób posiadłości angielskie i sfera wpływów stałe się powiększały.

W następnym pięćdziesięcioleciu, u którego progu (1858) Korona dotychczasowy system administracji Indjami — za pośrednictwem „ajnego komitetu, podlegającego radzie nadzorczej — zastąpiła bezpośrednim, mianując specjalnego sekretarza stanu dla Indji w kraju, a wicekróla (w miejsce dotychczasowe-

go generała - gubernatora) w Indjach, stosunki między państwami niepodległymi (cum grano salis) a terytoriami brytyjskimi znów ułożyły się nieco inaczej. Anglicy pobudowali koleje, poczty i telegrafy, zaprowadzili opłaty morskie i podatek od soli, uczynili wiele dla wytopienia zbrodniczych organizacji w rodzaju thagów (dusicieli) i bandytyzmu („dacoity“). Władcy indyjscy powoli nabierali zaufania do przybyszów zza Oceanu i wielu z nich ofiarowało się ze zbrojną pomocą, gdy pół wieku temu z powodu wypadków nad granicą afgańską zawisła groźba wojny angielsko-rosyjskiej. Późniejszym wicekrólowi angielskim udało się podtrzymać i wzmocnić to zaufanie. Poza tem Anglja działała zgodnie z zasadami swej polityki ekspansji na terenie Azji, nakazującej uniknąć zderzenia z mocarstwami sąsiadującymi (tj. rosyjskiem i chińskim, oraz z francuskim imperjum kolonialnem w Indochinach), a terytoria, położone między owymi mocarstwami i posiadłociami brytyjskimi zamieniać w sferę wpływów czy protektorat angielski dla wykluczenia stosunków dyplomatycznych z innymi potęgami pod groźą casus belli.

W czasie wielkiej wojny światowej państwa indyjskie oddały Anglii do dyspozycji swe siły wojskowe i inne zasoby. Anglja musiała uznać prawo Indji do samorządu i zgodzić się na powstanie Izby książąt, ciała o charakterze rady. Osobne komitety — angielski i indyjski — radziły niezależnie od siebie sześć lat temu nad kwestją rozdziału kompetencyj Korony angielskiej i Izby książąt i mimo pewnej różnicy zdań obu komitetów zdaje się, że problem utworzenia federacji, złożonej z Indji angielskich i państw indyjskich, można uważać za dojrzały do rozwiązania; większość książąt podobno przyznaje, że bez poparcia rządu angloindyjskiego ich państwa staną w obliczu bardzo poważnych trudności. Z drugiej strony coprawda trzeba też pamiętać o istnieniu ruchu niepodległościowego, kierowanego przez Gandhiego; ale o tem rozpisywać się nie będę, gdyż — jak już wspomniałem — obszernych informacji dostarczały i dostarczają dzienniki.

Rzuciwszy okiem na polityczną mapę Indji, przekonamy się, że i dziś jeszcze można przebyć je od jednego krańca do drugiego — np. od Kaszmiru na północnym zachodzie po Trawankor na dalekim południu czy też od Indusu do zatoki Bengalskiej — niemal nie stawiając nogi na terytorium angielskim. Na ziemiach, których Anglicy nie zajęli, są jeszcze polacie, tworzące pozycje strategiczne bardzo obronne. Można to powiedzieć np. o przecinającym środek Indji w poprzek pasie ziemi, na którym leżą wielkie państwa: Baroda, Indor, Gwaljor, jedyne — poza kilku państewkami w Indjach środkowych i na Dekanie (jak Kolhapur i Satara oraz Tandżor) — resztki dawnej potęgi Marathów. Trzy te państwa środkowo-indyjskie są dobrze zagospodarowane, a gwaljorska armja jest bodaj najpotężniejszą z armij krajowych.

W stosunkach międzynarodowych państwa indyjskie stanowią całość z cesarstwem angloindyjskiem (cesarzem Indji jest, jak wiadomo, król angielski). Poddani państw indyjskich są poddanyami angielskimi, korzystającymi z opieki angielskiej, gdy znajdują się poza Indjami; podobnie też poddani innych krajów mają prawo do opieki angielskiej w państwach indyjskich i europejszczy, znajdujący się na terytorjum państw indyjskich, podlegają jurysdykcji angielskiej.

Wiele państw indyjskich idzie z postępowaniem czasu, a system ich administracyjny niewiele ustępuje angielskiemu. Naogół jednak właśnie administracja pozostawia sporo do życzenia; niższych urzędników jest zbyt mało. W niektórych państwach — np. w Hajderabadzie, Barodzie, Gwaljorze, Majsurze —

administrację sprawuje po większej części rada wykonawcza. W wielu sądownictwo zorganizowane jest na takich samych zasadach jak w Indiach angielskich, a sędziowie Sądu Najwyższego nie są wcale gorsi od angielskich. Oświata poczyniła duże postępy: na ogólną liczbę 18 uniwersytetów na terenie całych Indii dwa są krajowe, w Hajderabadzie i w Majsurze, Trawankor poświęcić się może najwyższym poziomem wykształcenia (czego nie należy rozumieć jako próby obniżenia wartości dopieroco wymienionych uniwersytetów w dwu innych państwach, a Baroda przeprowadza przymus szkolny. Wiele państw ma wydziały nauki; w wielu są wydziały medyczne, odpowiadające najnowośniewszemu wymaganiom.

Bardzo często rząd tego czy owego państwa indyjskiego pożyczka sobie poprostu urzędników od rządu aglo-indyjskiego, aby poprawić i udoskonalić różne działy swej administracji. Nie ulega wątpliwości, że książęta indyjscy poczuwają się coraz więcej do obowiązku opieki nad swymi poddanymi; niejedni z nich myśli przedewszystkiem lub wyłącznie o dobru narodu i w wielu państwach mieszkańcy są zupełnie oddani swemu władcy. Jeżeli żadne z państw nie może się pochwalić takim ogromnym ośrodkiem przemysłu i handlu jak Bombaj czy Kalkuta, to jednak naogół nędy niema i niema rozpaczliwej walki o kęs chleba.

Z małowniczego życia dawnych Indii przechowało się wiele do dziś w pań-

stwach indyjskich; wspomnieć wypada przedewszystkiem o dawnym ceremoniale, pieczołowicie przestrzegany i o wspaniałych procesjach świątecznych, szczególnie w Majsurze i Barodzie. Wszędzie znaleźć można hojną gościnność i starodawną uprzejmość. Dawne Indje nie umarły w całości, a to, co ocalało, nie ogranicza się do samych tradycji religijnych i kastowych (jeśli nawet pominiemy ślady przeszłości w postaci ruin). W latach powojennych skutkiem rozbudzenia się poczucia narodowego, nastąpił także wyraźny nawrót do przeszłości; zainteresowano się nią w różnych dziedzinach.

Eugeniusz Stuszkiewicz

List z Madrytu

Nie będę pisała o okropnościach rewolucji i represjach, zresztą stosowanych oględnie, jakie po niej nastąpiły. Polała się obficie krew, lecz życie szybko przechodzi obok trupów i zgłiszcz dymiących. Zajmijmy się tedy mniej strasznymi rzeczami.

STARY MADRYT DOGORYWA

Madryt szybko zmienia wygląd, upodabniając się do innych stolic, tracąc swe swoiste oblicze i nabierając kosmopolitycznego wyglądu. Coraz mniej charakterystycznych kawiarni o brudnych podłogach, o kanapkach, krytych wypelzłym czerwonym pluszem, kawiarni, w których przy każdej grupie gości stał kelner, oczekując rozkazów, a sławni toredorzy ocierali się o wybitnych literatów. Jedną z tych, które zachowały się jeszcze, jest Café de Pombo. Jeszcze gromadzi się tam towarzystwo intelektualistów ze znanym pisarzem Ramonem Gomezem de la Serna na czele. Niedługo to jednak będzie trwało. Na kawiarnię zapadł już wyrok śmierci. Kamienicę zburzą, a na jej miejscu mają zbudować ogromne kino. Sic transit gloria mundi.

Natomiast coraz więcej nowych lokali, nacechowanych amerykańskim pryncyplem. W listopadzie otwarto taką kawiarnię, zapędzającą w kozi róg wszystkie, co dotąd posiadała stolica Hiszpanii. Od frontu ściga ona wzrok wpuszczonymi w ścianę basenami, w których pluskają się złote rybki. W środku całe ogrody wspaniałych kwiatów, a różnokolorowe lampy umożliwiają zalewanie lokalu potokami światła raz takiej, raz innej barwy. Gość może czasem pomylić się i myśleć, że jest... w Berlinie. To nie kawiarnia, to superkawiarnia.

Pojawiło się w ostatnich czasach również dużo herbaciarni, zwanych Salon de Té. Chodzi się tam tańczyć i lokale te ściągają przeważnie młodzież płci obojga. Mają przeważnie bardzo dobre orkiestry.

Separatyzm hiszpański, objawiający się zupełną obojętnością na to, co dzieje się poza granicami kraju, należy do przeszłości. Ludzie zaczynają coraz bardziej interesować się szerokim światem. Nie wszyscy jednak chcą czytać gazety i stąd stały się modnym specjalne kina, stawiające przed oczyma widzów wypadki z całego świata. Madryt ma już sześć takich kinoteatrów.

Wogóle rzeczpospolita wpłynęła ogromnie na tryb życia i obyczaje. Dopiero teraz zaczęło społeczeństwo kroczyć szybkimi krokami ku równości. Można by to porównać ze stosunkami, jakie we Francji stworzyła wielka rewolucja. Dopiero teraz zaczyna życiu nadawać toni klasa średnia.

Daje to się odczuć przedewszystkiem w stolicy, gdzie ogromnie wzrosła ilość urzędów. Trzeba też dodać, że za monarchii płace urzędnicze były dość niskie, obecnie zaś zostały znacznie podwyższone.

NOWE NAZWY ULIC

Po wypędzeniu króla Alfonsa opanował był Hiszpanję formalny szal nazywania ulic i placów inaczej, niż nazywały się dotychczas. Socjaliści, którzy przeważnie opanowali rady gminne, widzieli w tem skuteczny środek propagandy. Każda miejscowość musiała mieć ulicę Galana i Hernandezę, nie szanowano najszanowniejszych wspomnień. Zresztą zdarzały się i nieporozumienia.

W pewnym miasteczku była ulica Mariany Pineda, wolnomyślniej kobiety, która nawet przypieczetowała krwią swe przekonania, gdyż rozstrzelano ją za Ferdynanda VII. Nowa rada municipalna przechrzcila ulicę. Gdy to doszło do wiadomości rządu centralnego, zwrócono gorliwym nowatorom uwagę i żądano od nich podania motywów. Z miasteczka odpowiedziano pismem, że zmiana stanowiła tylko jeden z punktów ogólnego planu, jaki powzięto. Polegał on na tem, aby „nie zostawić nic z rzeczy, zrobionych przez dawniejsze rady gminne“.

Po stłumieniu ostatniej rewolucji nastąpiło otrzeźwienie i minister spraw wewnętrznych wydał okólnik, zabraniający takiego masowego zmieniania nazw ulic, a zezwalający na nie tylko w wyjątkowych wypadkach, szczególnie godnych uwzględnienia.

KRÓL ANDORRY

Szeroki świat niewiele wie zapewne o monarchicznym zamachu stanu, jaki zaszedł tego lata w minjaturowej republice Andorze, położonej na granicy Francji i Hiszpanii i podlegającej wspólnej zwierzchności obu tych państw. Bohaterem tego epizodu był przedsiębiorczy oficer rosyjski, Borys Skoryzew. Wiadomo, że potrzeba jest matką wynalazków. Biała emigracja rosyjska walczy, jak może z trudnymi warunkami życia. Książęta i generałowie zmieniają się w szoferów i kelnerów. Skoryzew wybrał sobie piękniejszy zawód, chciał zostać monarchą i tym sposobem stanął pomiędzy takimi postaciami, jak słynny w połowie XVIII wieku Teodor, król Korsyki (baron v. Neuhoj) i Lebaudy, król Sahary.

Monarchję w Andorze szybko zlikwidowano, a Borysowi zabroniono pobytu na ziemi hiszpańskiej. Nie zastosował się do tego zarządzenia i zorganizował nową próbę zamachu. Wówczas uwięziono go i osadzono w sław-

nym Carcel Modello koło parku Moncloa. Stanął przed trybunałem, który najwidoczniej nie miał za grzech humoru, poważnie słuchał bardzo mętnych wywodów oskarżonego na temat jego praw do tronu Andorry, a potem skazał go na roczny pobyt w obozie koncentracyjnym. Zanim jednak Borysa Skoryzewa wysłano do Alcalá de Henares, zgłosił on odwołanie, a sąd apelacyjny okazał się łagodniejszym, potwierdził jednak decyzję władz administracyjnych, wydającą go z Hiszpanii.

Po czterech miesiącach wyszedł biedny monarcha z więzienia — w niebieskiej bluzie robotniczej i z monokiem w oku i pod huraganowym ogniem aparatów fotograficznych powędrował na kole. Jego straż przyboczną stanowił jeden jedyny agent policyjny.

ODKRYCIE NIEZNANEJ SZTUKI LOPE DE VEGI

W świecie naukowym zrobiło duże wrażenie odkrycie przez pewną studentkę w madryckim muzeum Cervantesa rękopisu komedji Lope de Vega La Tienda de los Gestos (sklep z maskami). O istnieniu tej sztuki wiadziiano, ale uważano ją za bezpowrotnie zaginioną. Nie była zresztą nigdy grana, prawdopodobnie ze względu na aluzje do różnych wybitnych osobistości współczesnych, gdyż owe maski, sprzedawane podczas karnawału, mają rysy rzeczywistych ludzi, współczesnych autorowi. Ta satyryczna treść komedji wywołała już szereg komentarzy i nawet polemiki.

Warto przy sposobności przypomnieć, że Lope de Vega, największy po Calderonie dramaturg hiszpański (żył 1562—1635) odznaczał się niezmierną płodnością. Na trzy lata przed skonekiem podał liczbę swych komedji na półtora tysiąca — ale nie liczył tu utworów z zakresu innego rodzaju, tzn. autos. Jeden z jego młodszych przyjaciół podał liczbę jego dramatów na 2.200 — a Lope pisał również poematy, nowele i t. p.

I. K.

Lotnik z krótkim wzrokiem

Ukazała się biografia majora Edwarda Mannocka, który dzieł z Albertem Ballem sławę najznakom. bryt. lotnika wojny światowej. Autorem jest porucznik Ira James, który w r. 1918 służył w eskadrze, mającej Mannocka za komendanta. Miał więc sposobność poznać go jako lotnika, żołnierza i przełożonego, a te informacje uzupełnił sumiennymi badaniami nad dzieciństwem i młodością swego bohatera. Ta część życia Mannocka jest również bardzo interesująca.

Miał on we krwi zamiłowanie do żołnierki i do przygód. Ojciec był podoficerem, ale doprowadził tylko do stopnia kaprala, a wysłużywszy swoje lata, pewnego dnia zniknął z domu. Żądza włóczęgi pociągnęła go w szeroki świat i rodzina już go nie ujrziała. Syn musiał wziąć się do pracy w wieku, kiedy inni chodzą jeszcze do szkoły powszechnej.

Został chłopcem do posyłek u kupca korzennego w Canterbury. Pracował 10 godzin dziennie i brał za to 2 i pół szylinga na tydzień. Praca była ciężka, więc Edward Mannock skorzystał ze sposobności i przerzucił się do fryzjerstwa. Tu już lżej mu było i więcej zara-

biał, ale nie czuł się zadowolony. Brat jego pracował w spółce telefonicznej i po jakimś czasie znalazło się tam miejsce także dla Edwarda, niestety w biurze, gdy on marzył o tem, aby pracować jako mechanik. Po jakimś czasie uczyniono zadość jego życzeniu. Spełniając swoje obowiązki w Wellinborough, zaczął zajmować się polityką i został sekretarzem Labour Party. Ale nie umiał długo usiedzieć na miejscu. Chciał poznać obce kraje i wybić się na wyższe stanowisko. Uważał, że obowiązkiem każdego jest osiągnąć w świecie tyle, ile jest zdolny. „Tylko trzeba być zdecydowanym i próbować“.

W tej myśli podziękował za miejsce i pojechał do Konstantynopola, gdzie zgłosił się do angielskiej spółki telefonicznej. Podobał się dyrektorowi i został przyjęty. Ale było to w styczniu 1914 r... Po wypowiedzeniu wojny przez Turcję uwięziono Mannocka jako brytyjskiego poddanego. Stwierdzono jednak, że ma krótki wzrok i pozwolono mu odjechać do ojczyzny.

Wstąpił naprzód do oddziału sanitarnego, stamtąd dostał się do pionierów, ale od początku myślał o lotnictwie. Jak jednak poradzić sobie z badaniem

lekarskim? Mannock zgłosił się i otrzymał oszukać roztargnionego doktora. Czytał na odległość jednym okiem, a próba trwała zbyt krótko, aby mogła wykazać wadę drugiego, do której się nie przyznał.

Wyszkolenie trwało długo. Dopiero w kwietniu 1917 Mannock wziął udział w wojnie. Do stycznia 1918 r. zestrzelił 20 aeroplanów niemieckich. Spędził potem trzy miesiące w Anglii. W tym czasie poznał go autor życiorysu. „Jego wysoka, chuda postać“, mówi, „jego ogorzała twarz jego głęboko osadzone, celtyckie niebieskie oczy, jego niesforne, ciemnokasztanowate włosy, jego skromny strój i obojętne żywo przemówiły do mnie i wnet, jak wszyscy inni uczniowie szkoły lotniczej, dostałem się pod jego urok“.

Wysłany ponownie do Francji z 74 eskadrą, Mannock odznaczał się raz po raz. Liczba jego zwycięstw rosła. W przeciwieństwie do szaleńczo odważnego Alberta Balla, Mannock był odważny na zimno. Nikogo nie narażał bez potrzeby i spokojnie obliczał szanse. Przełożeni poznali w nim urodzonego wodza i w lipcu zamianowano go dowódcą 85 eskadry. Zaledwie kilka dni życia miał jeszcze przed sobą. 25 tegoż miesiąca zginął — nie z rąk lotnika, lecz od ognia karabinów maszynowych z ziemi. Wedle oficjalnych źródeł zestrzelił ogółem 73 aeroplanów niemieckich. A. E.